MYŚL NARODOWA

TYGODNIK POŚWIĘCONY KULTURZE TWÓRCZOŚCI POLSKIEJ

ROK XVIII NR 44 WARSZAWA 9 PAŹDZIERNIKA 1938 R CENA NUMERU 80 GR

# CZESI I POLSKA

STAŁ się fakt radosny: oto układem z dn. 1-go października a wkroczeniem wojsk na most dzielący dotychczas, od tej zaś pory łączący w jedno miasto dwa polskie Cieszyny, powiększyliśmy granice Rzeczypospolitej.

W obręb władania naszego Państwa wcielone zostały ziemie Śląska Zaolzańskiego i naprawiona została krzywda Narodowi, wyrządzona dn. 20-go lipca 1920-go roku przez Radę Ambasadorów mocarstw sprzymierzonych. Stało się to w czasie odwrotu z pod Kijowa, gdy ratować musieliśmy niepodległość dopiero co uzyskaną. Szykując całą swą energię na walną rozprawę orężną, która przynieść miała w rezultacie doniosłe zwycięstwo warszawskie.

Położyliśmy kres obłędnej polityce czeskiej biurokracji, usiłującej wynarodowić ludność polską, nie baczącej, iż postępowaniem tem zadrażnia ona stosunki między dwoma państwami jednako zagrożonemi przez ekspansję niemiecką.

Przyłączyliśmy dwa powiaty zachodniej Polski o dużej kulturze i to prastarej kulturze.

Uzyskaliśmy bogate Zagłębie Karwińskie z zasobami koksującego węgla, którego nam było brak.

A przedewszystkiem zdobyliśmy się na krok wybiegający poza ideję wyłączną obrony, krok o charakterze ekspansywnym.

Znaczenie więc moralne i materialne zajęcia Śląska jest duże — chodzi jeszcze o to, by miało swoją wagę i polityczną. Zdajemy sobie przecież wszyscy z tego sprawę, iż fakt ten nie może pozostać bez następstw w dalszym biegu naszej polityki zagranicznej.

Gdy dzisiaj spojrzymy wstecz, dojść musimy do wniosku, iż chciwość Czechów w gromadzeniu ziem dla swego państwa po kilku wiekach upadku powstałego, chciwość podniecona niebywałem powodzeniem konferencji pokojowej w Wersalu, kazały wchodzić Pradze na ścieżki, które ją doprowadziły do klęski i upokorzenia. Nie z zasad głośno przez siebie wyznawanego liberalizmu powstała myśl sięgnięcia po takie np. okolice Jabłonkowa liczące 92% ludności polskiej — to pewna. Ale owa chciwość, która przyniosła krótkotrwały triumf nad Narodem, co w tej chwili, gdy mu Zachód sankcjonował krzywdę, bronił tego Zachodu i jego cywilizacji, odbiła się echem po latach niespełna osiemnastu. Stworzony faktem agresji Cieszyńskiego moment zadrażnienia między dwoma państwami, które wszystko, zdawałoby się, łączyło a nie dzieliło, trwał bezustannie i utrwalał w politykach czeskich przekonanie, że gwarantkami niepodległości Czechosłowacji są wszyscy: loże, „*ruda armada*”, Francja, Wielka Brytania, czy Mała wreszcie Ententa, tylko nie Polska. A jednak, gdyby Praga zrozumiała, iż jedynym istotnym gwarantem jej całości i niepodległości jesteśmy właśnie my, nie przeżywała by dzisiaj tragicznego dla siebie rozbioru, nie oddawała by Sudetów, Moraw, Lasu Czeskiego, nie szykowała by się na drugi rozbiór — następstwo plebiscytów oraz wypełnienie żądań węgierskich.

Czesi, uważani za realistów w dziedzinie polityki, okazali się politykami bez wyobraźni.

„Skrzętność” mieszczańsko - chłopska, zawiść do szlacheckiej Polski nie dały spodziewanych odsetków; kompleksy stanowią straszliwą przeszkodę w uprawianiu gry politycznej.

W oświadczeniu złożonem przez rząd polski, zaraz bezpośrednio po uzyskaniu zgody na oddanie Śląska, czytaliśmy, że znikł już moment zadrażnienia między Polską a Czechosłowacją. I to musi Praga zrozumieć i nie może — jeśli pragnie uniknąć klęsk jeszcze większych — zwrotu Zaolzia uważać za uszczerbek w swoim narodowym stanie posiadania. Przed okrojonem bowiem, państwem czechosłowackiem, którego rola polityczna taka, jaką do tej pory odgrywało, skończyła się bezpowrotnie, pozostaje do wyboru zgoda na wejście w obręb polskiego albo niemieckiego systemu Europy Środkowej. *Tertium non datur.*

# ZAOLZIE

## I

A WIĘC Zaolzie wraca nareszcie do prawych właścicieli, powraca do ojczyzny, łączy się z Polską, z którą rozdzieliły je wrogie losy za Kazimierza Wielkiego, przeszło pięćset lat temu (1325).

Książęciem Śląskiem na Cieszynie zwał się Mieszko I. Leżał Śląsk w granicach ziem zachodnich monarchii Bolesława Chrobrego na przełomie wieku X i XI. Książęta śląscy, dumni i hardzi piastowicze pisali się: *„Duces totius Silesiae”*. Prawa Polski do Śląska unawała już przedwojenna nauka niemiecka, dając temu plastyczny wyraz na mapach ludnościowych tych spornych okolic. Racja historyczna jest za nami, dobrze, że znalazła właściwe argumenty, jedynie trafiające w sedno rzeczy, szybkie i celowe.

Akurat na właściwą porę trafiła świeżo wydana książka p. Pawła Hulki-Laskowskiego: „Śląsk za Olzą” [1]) Przyda nam się bardzo w naszych rozważaniach. Autor zebrał w niej moc materiału informacyjnego, zaczerpniętego u samego źródła podczas wielce kształcącej wędrówki po Zaolziu. Zrobił przytem całą masę doskonałych, niekiedy wysoce prezycyjnych zdjęć i dokonał sporo rycin oraz opatrzył swój gruby tom mapami i zestawieniami statystycznemi.

Do zorientowania się w terenie znakomicie pomogła autorowi dobra znajomość czeszczyzny, pozwalająca mu już kiedyś z dużem powodzeniem trudnić się przekładaniem na polski powieści czeskich pisarzy (np. „Hordubal” Czapka i inne).

Punktem wyjścia dla wędrówki po piastowskiej tej niegdyś dziedzinie staje się oczywiście Cieszyn, pyszny ze swej dawnej niezmiernie metryki, wskazującej na rok 1155 jako na granicę historyczności miasta. Most na Olzie, dzielący Cieszyn na polską i czeską stronę, jest tą magiczną niemal granicą, po przekroczeniu której poczyna się rozumieć duszę śląskiego ludu i jego mowę, bynajmniej zresztą nam nie obcą, przeciwnie może bardzo nawet bliską nieskazitelnej staropolszczyźnie.

Przedewszystkiem należy tu, na Zaolziu, szukać owych legendarnych „Morawców”, rzekomo spolszczonych przemocą, ponoć do takiego stopnia, że aż do złudzenia żywcem oni przypominają rdzennych w mowie Polaków.

Odpolszczanie „Morawców” (nie Morawian) to był główny punkt programu oficjalnej polityki czechizacyjnej Pragi, moment swoistego apostolstwa najskładniejszy, jeśli chodzi o wygranie go w sensie politycznym. Forsował tę sprytną koncepcję, ten paradoks historyczny morawiectwa, niejaki Joža Vochala, ex-hotelarz i „gospodzki” w Ligotce Kameralnej. Jego teoria szła ogromnie na rękę działaczom czeskim t. zw. MOL (rozumianego jako skrót nazwy dla *Maticy Osvety Lidové pro knižectvi Teszinské*). Ci działacze, zwani poprostu *„mole”* i *„hraniczari”*, reprezentowali typ najdokuczliwszy w swym napastliwym i zaczepnym szowinizmie organizacyjnym, przypominając do złudzenia wytworzony pod *reżimem* sowieckim typ t. zw. „aktywisty” z Kompartii w Sowietach. Ci drudzy kubek w kubek byli podobni do dawnych działaczy pruskich jeszcze w przedwojennem Poznańskiem spod znaku osławionego *Ostmarktverein'u*.

Owa Macierz Szkolna (*Matice Osvety Lidovè*) czeska została założona w r. 1897 w Cieszynie na złość Polakom w celu konkurowania z Polską Macierzą Szkolną, zawiązaną też w Cieszynię znacznie wcześniej, bo w r. 1855, w 37-m roku istnienia Stalmachowskiej „Gwiazdki Cieszyńskiej”. Ponieważ jednak czeska ta instytucja oświatowa nie miała żadnego pola w polskiem środowisku cieszyńskiem, więc w r. 1908 zostaje przeniesiona do Polskiej Ostrawy, przeznaczonej na twierdzę wypadową czechizacji po całem Zaolziu.

W samej rzeczy, czeszczyzna, jako nie istniejąca niemal w wielu okręgach cieszyńskiego i czadeckiego, wymagała takiej sztucznej metody plantującej i podsycającej. Zadanie to spełniała zarówno *Matice Osvety Lidové*, jak i liczne i wzorowo nagół urządzone szkoły.

Patronowali całej akcji, wynarodowiania rdzennej ludności polskiej, prócz „aktywistów” na poziomie Vochali także i przedstawiciele odgórnych sfer inteligencji w rodzaju popularnego poety Bezrucz'a. Ten ostatni narzucił właściwie powszechnej wyobraźni społecznej ideę czechizacji Zaolzia niesłychanem „odkryciem” w ludności polskiej wrogów, równych conajmniej Niemcom, oraz tezą, że na Śląsku sto tysięcy Czechów zniemczono i tyleż... spolszczono.

Ciekawe, że jednakże Czesi przy całej swej zaciekłości nic nie potrafili oryginalnego wymyślić i swoją *Matice* wzorowali, nadzwyczaj wiernie

---

[1]) Wydawn. Inst. Śląsk. Pamiętnik Inst. Śląsk. VI Paweł Hulka-Laskowski: „Śląsk za Olzą”. Z 274 ilustracjami i 2 mapami. Str. 494 + knlb. Katowice — 1938. Skład główny: Nasza Księgarnia — Warszawa.

kopjując, na Polskiej Macierzy Szkolnej. Ta ostatnia organizacja wielkie przyniosła zasługi około dzieła utrzymania na zagrożonych terenach stanu posiadania polskości a nawet w trudnych chwilach atakowania opartej jedynie o biurokrację czeszczyzny. W wywiadzie autora z pewnym niemłodym orłowianinem słyszymy jakże typowy dla tamtejszych stosunków ciepły ton w prostych zdaniach obrazujących działalność Macierzy:

— A Macierz Szkolna? — Co tu dużo gadać! Jest to instytucja wprost błogosławiona. Żadne sprawozdanie roczne, czy nawet jubileuszowe, nie zdoła powiedzieć, ile ta instytucja zdziałała dobrego i wciąż jeszcze działa. Jej dzieło noszą ludzie w sobie przez całe życie i to dzieło Macierzy niby posiew rozwija się w ich sercach i umysłach i dojrzewa w nich z latami. Ojciec mój płacił regularnie Koronę na Macierz i 50 halerzy na Towarzystwo Pomocy Naukowych. Teraz dopiero widzę, ile dała mi ta prosta szkoła polska, stojąca ongi koło „luterszczoka" czyli kościoła ewangelickiego. Pamiętam czasy powstania gimnazjum polskiego w Orłowej, po którem przyszło gimnazjum czeskie. W roku 1914 zostałem przyjęty do gimnazjum polskiego" (str. 235/6)

Bardzo piękne świadectwo wystawione przez „szarego człowieka" — *„vox populi"*. Oto właściwa podstawa do oceny zasługi ogólnonarodowej. Od tego powinny zacząć władze centralne, gdy żywią pobożne intencje zadzierzgnięcia ściślejszych węzłów ze społeczeństwem. Metoda jeszcze Haruna — Al Raszyda: informowania się nie u władców poszczególnych paszalików ale u prostych rolników i mulników, — co sądzą o danej akcji społeczno-państwowej?

Wracając do zlekka tylko zaznaczonych stosunków szkolnych, ograniczymy się do kilku cyfr, dostatecznie jednak obrazujących opłakany stan w szkolnictwie na Śląsku Cieszyńskim, gdzie administracja czeska, inspirowana i instruowana z „góry", przez rząd praski, napędzała dzieci polskie do szkół czeskich. Osiągała tutaj poważne rezultaty, cyfry zupełnie fantastyczne, drogą fałszowania statystyk oraz bezwzględnego nacisku na rodziców, pozbawionych w razie oporu pracy. Zwłaszcza w okręgach przemysłowych Czesi, właściciele hut i kopalń stawali się pionierami swoistego *„Drang'u"*, zakładając przy swoich przedsiębiorstwach szkoły i zmuszając dzieci polskich robotników do zapełniania obcych im izb szkolnych.

Czesi to naród wychowawców i nauczycieli — czyni bystrą uwagę p. Hulka-Laskowski. Nie są narodem żołnierzy ani wodzów. Rycerskie i królewskie tradycje poszły u nich w zapomnienie. Walkę polityczną prowadzili przy pomocy najbardziej sobie znanych narzędzi: szkoły i nauczyciela. Jak ta walka wyglądała w efekcie końcowym, za przykład niech posłuży Nawsie—Jabłonków, gdzie przed wojną nie było Czechów wcale. W roku szkolnym 1921/22 chodziło tu do szkoły powszechnej 333 dzieci polskich. Czeskich ani jednego. Stopniowo jednak zjawiły się i dzieci „czeskie", ażeby z czasem osiągnąć cyfrę zupełnie niespodziewanie wysoką.

Oto tabelka nienaturalnego wzrostu i spadku:

| Rok szkolny | Dzieci czeskie | Dzieci polskie |
|---|---|---|
| 1921/22 | — | 333 |
| 1922/23 | 72 | 285 |
| 1925/26 | 186 | 193 |
| 1927/28 | 231 | 200 |
| 1930/31 | 279 | 214 |
| 1933/34 | 324 | 240 |
| 1934/35 | 328 | 245 |

Tak to wyglądało zastraszająco. Dziś obowiązkiem naszym stanie się, corychlej odrobić szkodliwą dla polskości działalność.

O tem, że istotnie tylko brutalny werbunek mógł zapewnić czeskim szkołom na Zaolziu potrzebny komplet dzieci (p o l s k i c h), przekonywa się autor na każdym niemal kroku, stwierdzając niewątpliwą odwieczną polskość społeczeństwa, dla którego wynaleziono ową fikcyjną, nic nie mówiącą nazwę „Morawców". Po polsku przemawiały płyty nagrobkowe i nazwiska na krzyżach cmentarnych, kancjonały, biblje i proste książki do nabożeństwa, jak owa słynna „Prawdziwa jedzina do nieba z Pisma Swientego dokazana droga, to jest nauka katolicka...," (napisana przez trzech księży katolickich: ks. Jerzego Bajtka, proboszcza jabłonkowskiego, ks. Jana Hackenbergera, proboszcza wędryńskiego i ks. Franciszka Knebla, proboszcza goleszowskiego), wydana w Oppawie w r. 1761, a we wzruszający sposób dedykowana

„Świętemu Janowi z Nepomuku, sławnemu dla Sekretu Spowiedzi Swientey sobie zwierzonego Menczennikowi, wielkiemu Sławy dobrey Patronowi, Kśiendzow świeckich ozdobie y Przykładowi, przytomnom dla pożytku Dusz Krześciańskich Prace pod Swientom Obrone a pewnom naprzeciw Jenzykom uszczypliwym Zasłone duwiernie w nayglembszej Pokorze ofiaruje Kśienstwo Swiecki".

Na spiżowej tablicy nad bramą kościoła w Nawsiu widnieje napis:

„Poznacie Prawdę a Prawda was wyswobodzi". Jan VIII. 32. „Co cesarz Józef II pozwolił, Leopold II i Franc. I potwierdził, a Albert książę sasko-cieszyńskie osobliwą łaską forytował, to zbór nawieyski duszp. wyznania sobie i potomkom z ochotą wybudował, 1820".

Przemawia to do nas czystą, wyborną polszczyzną.

Takie nagrobki, jak: „Tu leży Stephan Nicolaydes pierwszi cazatel zboru ligoccigo. Służył 26 let. Zemrzeł 24 Aprila Rocu 1808 wypełnił żiwota swego 65 let" albo — „Bóg wszechmogący dnia 11 Sept. 1829 po doświadczonym żywocie cicho do siebie śmiercią powołał Johannę Krigerową urodzonom w Bielsku 16 Now. 1762. — Niech będzie ciche twe odpoczywanie błogosławiona twa pamiątka radosne nasze z tobą oglądanie", na cmentarzu ewangelickim w Ligotce Kameralnaj, lub nazwiska na krzyżach: Tomoszek, Szczepański, Chwistek, Jaracz, Śmiłowski, Rybka, Brzeżek, Ostróżka, Zientek, Zagóra i t. p. — świadczą wymownie o rdzennej, odwiecznej polskości tych ziem. Jeszcze wymowniejszy napis znajduje się na kamieniu mogilnym cmentarza katolickiego w Błędowicach: „Umiłowanemu małżonkowi Józefowi Koschowi bywałego pana górnich Błędowic, który się we Februarze roku 1772 w ...szow (Goleszow?) narodził a 18 Septembra 1831 Gornich Błędowic umarł, na pamiątkę od jego smucącej się Małżonki ofiarowano anno 1831... Rozłączenie jest losem naszym, wieczność jest nadzieją naszą".

Zwiedzając Czadeckie, napotykał autor wśród miejscowego odsetka Słowaków na wyraźne ślady postępującej tam asymilacji polsko-słowackiej.

STANISŁAW JÓZEFOWICZ

(Dok. n.)

# POCZĄTKI EUROPY (Dokończenie)

WYKŁAD ROMANA DMOWSKIEGO WYGŁOSZONY DN. 20 MARCA 1930 R. (WEDŁUG ZAPISKÓW STEN.)

TERAZ chciałbym wrócić do jednej rzeczy. Takie państwo jak Kreta, bogate, oparte na takim handlu, rozsiadłe na Krecie i na wyspach, na brzegach Grecji i Azji Mniejszej, takie państwo miało jednego niebezpiecznego wroga, t. j. korsarzy-piratów. Z tym wrogiem ono sobie radziło, ale będąc tak bogatem, żyjąc z takim zbytkiem — tam był niesłychany zbytek — ludzie musieli tracić gust do służenia w flocie, do służenia w wojsku, a stąd używali coraz więcej w flocie najmitów i niewolników, czyli, że uczyli barbarzyńców sztuki żeglarstwa i sztuki wojennej. Taka nauka jak się odbywa, to kończy się tem, że ten najemnik bierze pana za łeb, tak jak Germanowie wykształceni na legionach (wzięli za łeb Rzymian), tak samo i tu należało przypuszczać, że jak nauczyli środków wojowania tych najmitów, ci wezmą ich za łeb. Tak się przedstawia świat cywilizacji kreteńskiej.

Ale już trochę na północ, np. Tesalia jeszcze była w epoce kamienia gładzonego, jeszcze nie znała metalu. Około 2000 lat przed-Chrystusem zjawia się w tej Tesalii jakiś nowy ruch z północy, przynosi ze sobą miedź, kiedy na Krecie jest już bronz i przynosi z sobą nową architekturę. Kreteńskie domy były z płaskiemi dachami, tymczasem ten przynosi domy czworokątne z dachem spadającym na dwie strony, z wielką izbą pośrodku, dom rozwinięty później w starej kurnej chacie. Ta architektura, z której cała grecka architektura powstała, jest północna, z ogniskiem. Kreta nie potrzebowała ogniska. Tę architekturę przyniósł jakiś nowy wódz północy. Ten lud bardzo często rozszerza się na południe, rabuje, niszczy, pali, atakuje środkową Grecję i zajmuje Argolidę i wyspy i zapanowuje na lądzie trwałym. Jednocześnie około r. 1750 następuje jakaś katastrofa na Krecie. Stolica Krety leżała tu (pokazuje na mapie), Hagja Triada w środku rolniczego okręgu. Kreta była tak gęsto zaludniona i tak pokryta miastami, że w Odyssei powiadają Grecy, że jak przyjechali na Kretę, to nic nie widzieli, tyle ludzi było. Otóż i pałace (nie słychać) palą się, leżą w zgliszczach, wszystko zburzone. Co się stało? To, cośmy mówili: ich najemnicy nauczyli się od nich, przyszli potem jako jacyś korsarze i zburzyli stolicę państwa i wszelkie miasta. Ale bardzo prędko widać znowu potężną rękę — wszystkie pałace odbudowują się, i to wspanialsze, na większą o wiele skalę, tak, że to, co Państwo widzą, to już z tego okresu odbudowy. Cywilizacja idzie jeszcze wyżej, podnosi się elegancja, wyrafinowanie, kultura rozszerza się, zapanowuje w tej nawiedzonej przez najeźdźców Krecie, a wpływ handlowy rozszerza się o wiele dalej jeszcze. Jest ciekawa rzecz, że jest 12 miejscowości w świecie starożytnym, które noszą nazwę Mino t. j. założone na cześć Minosa. Te miejscowości leżą na Krecie, na wyspach Lakonii, w Megarydzie, na Sycylii, czyli, że już docierają wpływy do Sycylii, Syrii i nawet na wybrzeże Azji Mniejszej. Z tego widać, jak się ten handel rozgałęził szeroko i jakie musiały z niego w dalszym ciągu płynąć bogactwa.

Ale w roku 1450 przed Chrystusem, t. zn. w 300 lat potem, znowu jest najazd jakiś. Wszystko się pali, idzie w zgliszcza, tylko jeden pałac pozostał. Niewytłumaczona katastrofa. Archelogowie dzisiejsi są skłonni przypisać to najazdowi Achajczyków, którzy Troję zburzyli — pomówimy o tem później. Jest bardzo ciekawa rzecz jedna z tym pałacem, który jeden tylko pozostał. W tym pałacu zaprowadzono dwie zmiany i dobudowano część czworokątną z spadzistym dachem i z nasadą, czyli już jakiś lud kontynentalny z północy tam wlazł, a drugi zbudował mur. Dotychczas bezpośrednie przejście do sali przyjęć, urzędowej, królewskiej, było z działu kobiecego, z apartamentów damskich. Po tej katastrofie postawiono gruby mur między salą damską a salą przyjęć, czyli, że ten, kto zdobył Knossos, przyszedł już później. I tak trwało to tylko przez 50 lat. Po 50 latach Knossos zostało spalone, zburzone, Kreta już skończyła swoją rolę, już nie odżyła, tylko Hagja Triada, ten centr okręgu rolniczego, trochę się odbudowała, ale już nowe domy są z dachem spadzistym. Wreszcie środek ciężkości przenosi się na Peloponez. Główne siedziby są: Miceny, Tiryns i Argos. Wreszcie rozwija się kultura Miceńska. To jest koniec cywilizacji kreteńskiej. Potem następuje cywilizacja miceńska, która także pięknie się rozwija na pewien czas i pozostawiła nam zabytki niesłychanie bogate. Kreta zupełnie zanikła. Ta cywilizacja miceńska znana już była trochę poprzednio z tych grobów królewskich w Micenach. Ona trwa od r. 1400 do 1200 i później ma jeszcze 100 lat dekadencji, kiedy zapanowuje w sztuce banalność, styl geometryczny, to jest ten okres między 1200 r., na który przypada wojna trojańska, wreszcie kompletny jej upadek przychodzi w r. 1100. W tym roku zjawia się na tym terenie żelazo, po raz pierwszy następuje okres, który nazywają okresem (halsztackim), i jedna droga hypotezy: jak była ta hypoteza Achajczyków, którzy zniszczyli Kretę i stworzyli miceńską cywilizację z pierwiastków Krety, tak teraz postawiono hypotezę Doryjczyków, którzy mieli przyjść i przynieśli z sobą żelazo, niesłychaną surowość obyczajów i strój drapowany, t.j. strój, który znany jest pod nazwą stroju greckiego. Na poparcie tej hypotezy podają dokumenty egipskie, mianowicie posiadamy z 12 wieku tekst egipski, który mówi o ludach na Nilu i wśród tych ludów wymienia Doryjczyków i Achajczyków. Czyli, że jest dokument egipski z 12 wieku świadczący, że już wtedy przodkowie Greków, Doryjczycy i Achajczycy odgrywali rolę czynną, bojową. Inne odkrycia najnowsze z państwa Hetyckiego wskazują na działanie Achajczyków i Eolczyków w Azji Mniejszej w 12 i 13 wieku. To jest wszystko w najogólniejszych zarysach, z unikaniem wszelkich szczegółów, co o tym wiemy na podstawie wykopalisk. Cywilizacja zginęła, zginął język, którym ludzie mówili, zginęło ich imię, nie wiemy, jak się nazywali, zginęła nawet pamięć o nich, tak, że dowiedzieliśmy się o nich dopiero po 4 tysiącach lat. Takiego wypadku w historii niema, takiej tragedii, żeby świetna cywi-

lizacja, mająca całą historię, która stworzyła taką wspaniałą egzystencję luksusową ludzi w swoim czasie, do tego stopnia zginęła, żeby język, imię i nawet pamięć o niej zginęły.

Staje teraz pytanie, czy możliwe, żeby Achajczycy, Doryjczycy, którym się przypisuje, że oni tę cywilizację zburzyli, czy możliwe jest, żeby oni nie zachowali w swojej tradycji nic, żeby nie mieli w pamięci tego? Oni mają jedną jedyną tradycję, t. j. zburzenie Troi. Jest teraz kwestja. To wszystko wygląda jak z nieprawdziwego zdarzenia. Trudno sobie wyobrazić, aby to było prawdopodobne. Spojrzyjmy na to trochę historycznie-politycznie, jakkolwiek do historii to się jeszcze nie zalicza, bo historią nazywa się to, co jest oparte na dokumentach. Tu dokumentów niema, bo jeśli są, to nie odczytane. Wszystko opiera się na wykopaliskach. Ale mamy cały dramat przedstawiony bardzo ostrożnie, na podstawie ścisłego zestawienia wykopalisk. Trzeba sobie przedstawić, jak to się mogło stać, żeby barbarzyńcy jacyś przyszli i zburzyli cywilizację tak, że sami o niej nawet zapomnieli. Zwykli barbarzyńcy, jak najeżdżają kraj cywilizowany, to albo rabują i uciekają, albo zostają, wsiąkają i cywilizują się. Tu się nie stało ani jedno ani drugie. Przyszli Grecy, ale byli zupełnie ciemni, nie mieli w tradycji tego, że tam była jakaś cywilizacja. Więc trzeba by zapytać się, jak ta tragedja egejska mogła się rozegrać. Jabym pozwolił sobie te rzeczy zestawić trochę politycznie — historycznie.

Więc przedewszystkiem mamy, zdaje się, tu do czynienia z jedyną cywilizacją wielką, która nie była oparta na ustroju patrjarchalnym. Nigdy tu nie było najeźdźców koczowników, którzyby mogli ten ustrój przynieść i to wszystko, co widzimy, rola kobiet w tem społeczeństwie i t. d., wskazuje na to, że ta cywilizacja o patrjarchat nie była oparta. Z grobowców Kreteńczyków widzimy najpierw wielkie grobowce, później indywidualne, z czego wynika, że ród się rozkładał w miarę tego, jak ustrój państwowy się konsolidował, jak rody się rozkładały, kiedy nie miały rodziny patryarchalnej. Zdaje się, że Kreta była społeczeństwem bez ustroju rodzinnego. Rodzina — to była matka, dziecko i jej rodzina, czyli, że budowa społeczeństwa była bardzo słaba. To jedna rzecz. Druga rzecz, że to była cywilizacja morska, handlowa, postawiona w te szczególne warunki, że tylko Kreteńczycy byli wielkimi żeglarzami, nikt im konkurencji nie mógł robić, że nie mieli żadnej innej potęgi morskiej, z którą by rywalizowali, czyli, że nie wojowali, że mieli tak wygodny, bezpieczny byt, że bardzo łatwo rozmiękły ich obyczaje, rozluźniły się. Mogli oni być inteligentni do finezji, ale obyczaje się rozluźniły. Jedyne zajęcie mięśni to były sporty, jakie uprawiali, i to prawdopodobnie się zrobiło bardzo eleganckie, patrycjuszowskie, a do wojska i t. d. wynajmowali sobie niewolników, którzy za nich pracowali.

Niestety, przecież na tych morzach tyle ludów było rozmaitych, które żyły w morzu z rozbójnictwa, które jęczały pod potęgą Grecji, która rozbójnictwo morskie utrudniała. Niewątpliwie czekali oni tylko na Kretę, kiedy będą mogli zniszczyć jej potęgę i zrabować jej bogactwa. Więc mnie się zdaje, że mamy prawo sobie powiedzieć, że kiedy w r. 1925 wszystkie pałace Krety legły w zgliszczach, to był najazd jakiegoś ludu barbarzyńskiego, morskiego pirata, który obalił państwo kreteńskie, t. j. nie państwo, tylko władzę i sam siebie zrobił Minosem. I napowrót mocna ręka zapanowała, bo przyszedł surowy człowiek, ale jako barbarzyńca zasiadł na tronie w kraju, w którym było tak dobrze i sam osłabł i zmiękł w tym dobrobycie i znowu przyszedł drugi barbarzyńca surowy, który tego wziął za łeb i siadł na jego miejsce. Tego inaczej nie można sobie wytłumaczyć. Wreszcie tych barbarzyńców, korsarzy, piratów namnożyło się bardzo dużo. Ten dokument z 16 wieku, na który powołują się zwolennicy teorii achajskiej, wspomina 15 ludów, które się sfederowały, stowarzyszyły, aby opanować Kretę. Są tam więc: Danaida i Arkadia, później Etruskowie, Syryjczyk i t. p. Jest kilkanaście ludów sfederowanych w celach rozbójniczych, śród nich są i Achajczycy, ale nie odgrywają wcale pierwszorzędnej roli, czyli, że na miejsce cywilizacji wielkiej kreteńskiej, która mogła się rozwinąć dzięki temu, że miała potęgę morską, teraz zapanowało kilkanaście ludów pirackich, które na wszystkie strony grabiły, rabowały i niszczyły. Między temi ludami są takie, co prosiły faraona, żeby im pozwolił się osiedlić na południowym brzegu Syrii. Oni założyli tam swój kraj, który od nich nazwał się Palestyną w 12 wieku. Poco mówić o tem, że zburzył jeden lud czy inny cywilizację kreteńską, kiedy ten dokument wyraźnie mówi, że był ogólny rozbój i ogólna anarchia i, to jest moje zdanie, kiedy Grecy tam przyszli, to już zastali miasta w gruzach, przemysł skończony, handel skończony, ludzie zdziczali, zapomnieli czytać i pisać, poprostu cała cywilizacja w gruzach. Posłuchajmy, co mówią Grecy sami o tem i to Grecy nie bylejacy. Więc biorę najpierw takiego krytycznego historyka, który mógłby się równać pod tym względem z dzisiejszymi, Tucydydesa. Co on mówi o początkach Grecji: „Kraj, który się nazywa Helladą" (czyta).

Oto jest najmądrzejszy z tej przeszłości człowiek, wielki historyk, który tak sobie przedstawia Grecję w przeszłości. A teraz weźmy drugiego, ojca jego, Herodota, który zbiera wszelkie legendy i podania. Co on pisze: (czyta), Co to znaczy? Są tu nazwy ludów przedewszystkiem, nie jednej osoby, jak u nas nazwa „Lech" przeniosła się na lud, a potem dorobiono jeszcze Czecha i Rusa.

Oto ludy pirackie rozmaite osiadają sobie w Grecji, każdy gdzie mu się podoba, czyli to jest potwierdzenie tego, co mówi Tucydydes, tylko tamten mówi to w formie krytycznej, a ten podaje w formie legendy. Na tem polega tragedia egejska, że wskutek tego, że to była cywilizacja oparta na niedostatecznie surowych podstawach obyczajowych, że warunki geograficzne nie wymagały wydobycia z siebie surowości bojowej, że tu zanikała ta cywilizacja, tak piękna, bogata i t. d., tak zginęła, że śladu po niej nie zostało. Ci dawni cywilizowani, wyrafinowani ludzie musieli tak żyć jak dziś Europa. Oto więc, jak drogo się płaci za komfort i luźność obyczajów, jeśli za tem nie stoi męskość, siła i dzielność. Jeszcze jedno powiem. Zdaje się, że cała Europa właśnie miała podłoże nie patrjarchalne, czyli, że patrjarchat przyszedł z indo-europejczykami, jak Hellenowie przynieśli go do Grecji. Mojem zdaniem w Grecji nie było patrjarchatu. Toby nam objaśniło tragedję cywilizacji greckiej, odpowiedziało

na pytanie, dlaczego ona trwała tak krótko. Bo Grecja faktycznie to były mojem zdaniem dwa ludy: jedni to byli potomkowie tych cywilizowanych Egejczyków, zdziczali, zbiednieli, ale w swoich instynktach mający wychowanie z przed $1^1/_2$ tysiąca lat; a drudzy to byli surowi barbarzyńcy, a nie wyrafinowani artyści. Dopóki trwała klasyczna Grecja, dopóty i artyści i t. d. mogli sobie iść tu, a inni, którzy nie umieli sztuki, ani filozofii, uprawiali rozpustę, z której Grecja była słynna dotąd, dopóki los czuwał nad Grecją. Kiedy to się skończyło wszystko, zaginęła i plastyka i sztuka i zaginęła ich dzielność, bo, że była ta różnica, to niema wątpliwości. Czyta się Herodota, który powiada: Kreta szukała aljantów w świecie i oparła się na dwóch narodach, t. j. Ateńczykach i Spartanach. Dlaczego Spartanów uważa za Hellenów? Bo oni stworzyli społeczeństwo czysto helleńskie, zdobycznych jeńców uznali za helotów, a społeczeństwo zrobiło z tych najeźdźców twardych barbarzyńców. Zapanowali u siebie i w świecie greckim i dlatego Spartanów bierzemy za przykład. Grecy znali tylko chaos i tylko chaos pamiętali, wszystko przed nimi zginęło. Ale indoeuropejczycy poszli dalej na półwysep Bałkański i półwysep Apeniński.

Achilles, który się kłóci z Agamemnonem pod Troją o te niewolnice-branki, powiada: — co mi Trojanie winni, czy oni mi wstrzymali niewolnice? Czy porwali stada?. Panowie czytali pieśń o powrocie Ulissesa. Kto tam jest najważniejszą osobą? Pastuch zwany Eumejos, baczący na dom, w którym siedzi żona Ulissesa. Zjeżdżają sąsiedzi, konkurują o rękę Penelopy, ale tam niema śladu jakiejś władzy. To nie mogą być ludzie reprezentujący cywilizację miceńską. Ciągle mówi się tam o koniach, to znów bez koni, hersońska wyspa i t. d.

Poszli dalej do północy i stworzyli zwarte zaludnienie. W tej jednolitej masie wytworzył się ten surowiec w współżyciu, bo to była jedynie masa, tam nie było tego podkładu o wiele liczniejszego. I znów dużo możnaby powiedzieć na ten temat. Tu społeczeństwo rzymskie imponuje swoim ustrojem mocnym społecznym i rodzinnym, surowemi obyczajami, poczuciem odwagi, honorem i t. d. Dokąd? Dotąd, dopóki Grecji nie podbiło. Z chwilą, kiedy podbiło Grecję, kiedy do Rzymu zaczęli napływać filozofowie greccy i nierządnice greckie, psują się obyczaje i Rzym zaczyna tak samo upadać. Psuje się i rodzina. Wreszcie przychodzi kościół i na rzymskich podstawach buduje się nowy ustrój, takie instytucje, jak rodzinę i naród. To wystarcza na tysiąc kilkaset lat. Dziś znowu żyjemy w przededniu zmian. Nasi protoplaści greccy skłaniają nas wciąż do tych prawzorów, które surowi barbarzyńcy zastali. To byłoby również objaśnieniem, dlaczego, gdy cywilizacje: ateńska czy spartańska, chińska czy japońska długo i mocno stoją, dlaczego w Europie po pewnym czasie zaczyna się rozkład. Dlatego, że tu są dwa pierwiastki z sobą skłócone: ten pierwiastek indo-europejski, który wprowadził patrjarchat i na tym patrjarchacie buduje mocną rodzinę — i ten pierwiastek miejscowy, który nigdy przez patrjarchat nie przechodził, nie wydał go z siebie, tylko on mu został narzucony i który ciągle tęskni za wyłamaniem się z tych karbów, za rozluźnieniem stosunków, za zniszczeniem tych podstaw, na których się patrjarchat opiera.

Zakończę tylko tem, że jeśli naprawdę wrócimy do obyczajów cywilizacji egejskiej, to spotka nas los Krety. Skończyłem.

ROMAN DMOWSKI

# POLSKA A RUMUNIA (Dokończenie)

## PRZED WOJNĄ I PO WOJNIE ŚWIATOWEJ

II

W POPRZEDNIM artykule, cytując szereg ważkich obserwacyj Biedrzyckiego, podkreśliłem, że o ile elita kulturalna rumuńska już za czasów Sobieskiego zdawała sobie należycie sprawę ze znaczenia sojuszu intelektualnego obu krajów, o tyle lud rumuński odnosił się do nas z pewnem niedowierzaniem.

Wojna europejska, powodując bezpośrednie zetknięcie się obu narodów i częstsze niż dawniej kontakty, zmieniła w ciągu kilku lat dawne poglądy. Dziś zarówno rolnik, jak polityk rumuński obdarzają Rzeczpospolitą nietylko szacunkiem, ale i należytą sympatią. Różnice w poglądach kastowych na sąsiada polskiego zatarły się, ustępując już w r. 1921 miejsca sojuszowi, tak samo dzisiaj szczeremu, jak przed laty siedmnastu. Sojusz polsko-rumuński, to dzieło zarówno ś. p. króla Ferdynanda jak Marszałka Piłsudskiego. Dzień 3-go marca 1921 stał się pierwszym ogniwem tego łańcucha. W pięć lat później umowę tę rozszerzono, przewidując w niej gwarancję całości obu państw, wreszcie w r. 1931 pogłębiono ją jeszcze bardziej. Odtąd umowa polsko-rumuńska, odnawiana co pięć lat, podkreśla przyjazne między obu krajami stosunki.

Król Ferdynand I wraz z małżonką przybywa do Polski, przyjmowany tu niezwykle serdecznie Marszałek Piłsudski spędza trzykrotnie lato w Rumunii jako gość znanego tam rodaka naszego, d-ra Stępowskiego. Wślad za tem zaczynają się organizować wycieczki turystyczne; pozwalają one Polakom zetknąć się bezpośrednio z Rumunią i jej ludem. Znaczenie tych wycieczek, zwłaszcza kilko-tygodniowych — rozumnej akcji „Orbisu", jest ogromne. Dwa lub trzy tygodnie, spędzone przez turystę w Rumunii pozwalają mu, na marginesie wypoczynku letniego, do poczynienia obserwacyj nad kulturą, obyczajem i folklorem Rumunii.

To też zainteresowanie Polską zaczyna wzrastać. Znamienne dzieło prof. Jorgi p. t. „Polacy i Rumuni" (*„Polonais et Roumains"*) staje się impulsem do licznego szeregu analogicznych publi-

kacyj. Sypią się one niczem zdrowe ziarno na urodzajną, przygotowaną przez poprzednie stulecia glebę. Wyliczmy przynajmniej najwybitniejsze, gdyż rzucają one światło na rodzaj zainteresowań wzajemnych w obu krajach. Wytrawny znawca spraw rumuńskich, prof. St. Wędkiewicz wydaje (po rumuńsku) rozprawę p. t. „Kilka słów, dotyczących niektórych zagadnień z dziedziny związków duchowych między Rumunami a Polakami", ponadto pisze ou szereg drobniejszych prac z zakresu filologii rumuńskiej. Prof. Olgierd Górka wystąpił z okazałem dziełem p. t. „Kronika czasów Stefana Wielkiego Mołdawskiego", które szczególnie jest cenione w Rumunii. Tenże uczony poświęca inne swoje dzieło dziejom Jana Olbrachta i jego słynnej kampanii bukowińskiej, odsłaniając w niem szereg nici politycznych, łączących już wówczas oba kraje.

W dziedzinie piśmiennictwa nie sposób jest pominąć studium Łukasika: „Rumunia i Polska w w. XIX", jak również ciekawych przyczynków do pobytu Sienkiewicza w Rumunii.

Strona rumuńska wykazała w okresie powojennym nie mniejszę zainteresowanie zagadnieniami kultury polskiej. Obok wspomnianego już, pionierskiego dzieła Jorgi postawić należy niezwykle cenną rozprawę Panaitescu, prof. wszechnicy bukareszteńskiej o „Wpływach polskich w dziełach i osobistościach rumuńskich kronikarzy" a następnie tegoż autora „Podróżnicy polscy w Rumunii". Piszą na tematy polskie: kulturalne i historyczne liczni uczeni, jak: Cancel, Nandris a zwłaszcza prof. E. Minca, którego księga o Długoszu stała się źródłem do dalszych badań naszej literatury dawnej.

W latach ostatnich następują coraz częstsze wycieczki, już nietylko turystyczne, ale naukowe. Uczeni rumuńscy (Jorga, Panaitescu, Radulescu i inni) odwiedzają Polskę, szczególnie Kraków zapoznając się bezpośrednio z naszemi archiwami i zabytkami. Wślad za Stanisławem Wędkiewiczem do Rumunii jadą nasi filologowie i historycy: (Górka, Glixelli, Łukasik). Wślad za „wymianą" profesorów następuje wzajemna wymiana akademików. Wielu z nich studiuje na Uniwersytecie warszawskim, w Krakowie i Lwowie. Polacy jadą najchętniej do Cluj i Bukaresztu. Przy niektórych Wszechnicach naszych powstają lektoraty języka rumuńskiego, mało zaś komu wiadomo, że od r. 1931 w kilku państwowych Liceach rumuńskich wykłada się język polski.

Wreszcie wspomnę syntetycznie o wymianie literackiej i artystycznej. Przyczynia się ona — może skuteczniej od publikacyj naukowych do wzajemnego poznania. Powieść obyczajowa, czy też dobry koncert dają szerszemu ogółowi o wiele więcej, niż, zazwyczaj niedostępna dla niego rozprawa filologiczna.

Najwcześniej zaczęły się tłumaczenia. Na pierwszy ogień poszła „Warszawianka" Wyspiańskiego, wystawiono ją w przekładzie Nondrisa w teatrze dramatycznym w Cernauti. W odpowiedzi na apel rumuński daje Maria Kasterska swoje przekłady i „Szkice", Emil Zegadłowicz — „Tematy rumuńskie", poszczególne utwory poetyckie—Alfons Dzięciołowski, Mayzlówna i Czechowicz. Prof. E. Biedrzyckiemu zawdzięczamy krótki, ale bardzo cenny przegląd literatury rumuńskiej. Prof. Łukasik sięga do najnowszych pisarzy rumuńskich. Z chwilą, kiedy na czele wydziału prasowego poselstwa w Warszawie staje poeta-entuzjasta, p. Aron Cotrus, sprawa wymiany kulturalnej rośnie z dniem każdym. Utalentowana małżonka Cotrusa zapoznaje nas w szeregu swoich koncertów z muzyką swojego kraju, zbyt mało u nas grywaną.

Prace państwa Cotrus stały się nowym impulsem do wzajemnego poznania. Kontynuują je w stolicy następcy Cotrusa pp.: Georges Härsu (który zbyt krótko tutaj bawił) i obecny *attaché* prasowy, władający doskonale naszym językiem, p. Telemak Dan. W dziedzinie muzyki — cenimy bardzo kompozycje Enescu, wytrawną batutę odwiedzającego Warszawę dyrygenta — Georgescu i reprezentacyjny zespół chóralny rumuński *„Cantarea României"* z Botezem na czele.

Należy tu jeszcze dołączyć zainteresowanie muzyką polską, jakie przejawia młode *„Radio Romania.* Czołowe utwory polskiej muzyki symfonicznej, zwłaszcza Szymanowskiego figurują często w programach rozgłośni bukaresztеńskiej. Artyści polscy, począwszy od ś. p. Józefa Śliwińskiego, który był ulubieńcem publiczności rumuńskiej, kończąc zaś—w latach ostatnich na Szymanowskim, Fitelbergu i piszącym te słowa, spotkali się w *„Radio Romania"* z przyjęciem pełnym szczerego uznania.

Dzisiejszy stan stosunków polsko-rumuńskich można nazwać imponującym w stosunku do tych poczynań jakim, w skrócie syntetycznym, przyjrzeliśmy się w poprzednim artykule.

Słowo *„Polonèz"* — Polak wymawiane jest obecnie z jednakowym szacunkiem zarówno w wielkiej stolicy Rumunii, jak na wsi mołdawskiej, czy transylwańskiej. Podobnież i dla nas—dzięki stałej wymianie turystycznej i naukowej — obraz Rumunii kształtuje się jako symbol najdalszego na widnokręgu wschodnim państwa o starej kulturze romańskiej.

W—b.

# ZAGADNIENIE CZŁOWIEKA (Dok.)

6

ABY DOKŁADNIE zrozumieć istotę świadomego budowania swojej osobowości, trzeba się zastanowić nad istotą czasu, który stanowi charakter specyficzny przedmiotów i zmienia się w zależności od ich budowy. Rozróżniamy czas fizjologiczny i psychologiczny, które nie zawsze z sobą się pokrywają. Tak dojrzałość płciowa nie objawia się w tym samym czasie u różnych jednostek. I wartość czasu nie jest ta sama. Dzieciństwo jest bardzo krótkie a starość bardzo długa. Czas wewnętrzny to my sami. Teraźniejszość zapisuje się w świadomości, w tkankach i we krwi. Zachowujemy w sobie piętno organiczne i psychologiczne wszystkich wydarzeń naszego życia. Jesteśmy wynikiem jakiejś historii.

Długowieczność jest tem większa, im jednostajniej starzeją się elementy ciała. Mięśnie działające sprawnie, gdy serce i naczynia uległy już podniszczeniu, stają się dla danego indywiduum niebezpieczeństwem. Również wartość czasu nie jest jednakowa dla wszystkich tkanek. Heterochronizm narządów skraca czas życia.

Starzeniu się ulega również przyśpieszenie, jeśli jednostka nawet o tkankach izochronicznych narzuca pracę nadmierną jakiejś części ciała.

Czas psychologiczny jest jedną ze stron naszej istoty ludzkiej. Nie znamy jego natury jak i natury pamięci. Pamięć obdarza nas poczuciem, że czas płynie. Osobowość nasza zbudowana jest ze wspomnień, ale i z piętna złączeń fizycznych, chemicznych, fizjologicznych i psychicznych naszego życia, piętna wyciśniętego na wszystkich narządach. Gdy się skupimy w sobie, czujemy niewyraźnie posuwanie się naszego trwania. Potrafimy ocenić to trwanie w bardzo grubem przybliżeniu w jednostkach czasu fizycznego. Świadomość czasu posiadamy w ten sposób, co elementy mięśniowe czy nerwowe. Różne grupy komórek zapisują czas fizyczny, wszystkie na inny sposób.

Wartość czasu dla komórek nerwowych i mięśniowych wyraża się chronaksjami. Odmłodzenie odpowiada pewnym zmianom fizjologicznym i chemicznym dającym się zmierzyć w osoczu krwi.

Trwanie jest w taki sposób częścią człowieka, jak kształt łączy się z marmurem rzeźby, a do trwania naszego odnosi się trwanie zdarzeń naszego świata. Posługujemy się nim w ocenie wieku naszej planety, rasy ludzkiej i naszej cywilizacji. Jednak pochód cywilizacji jest bardzo powolny. Jak powiedzieliśmy już wiek fizjologiczny i psychologiczny nie są równe. W dzieciństwie nosimy w sobie liczne możliwe istoty które kolejno umierają jako potencjały poronione,

7

Ciało nasze tworzy się w rozmaitych zdarzeniach, przystosowując się do środowiska i okoliczności życia w każdej sytuacji życiowej improwizuje sposób stawiania czoła. A ten sposób jest taki, że stara się osiągnąć *maximum* naszego trwania, I te czynności adaptacyjne działają w każdej chwili naszego życia. Jakiekolwiek są nasze troski i radości, jakakolwiek jest ruchliwość świata, rytm naszych narządów niewiele się zmienia. Komórki i soki ustrojowe prowadzą dalej niewzruszenie swe wymiany chemiczne. Wynika stąd, że istnienie celowości w organiźmie jest niezaprzeczalne. Każdy element jak gdyby znał potrzeby bieżące i przyszłe zespołu i zmieniał się podług nich. Widzimy, że jedne natury są mniej inne więcej odporne na choroby. A jednak w dzisieszych warunkach życia choć organizm przystosowuje się, wykazuje często zmiany ujemne stałe i trwałe, człowiek wyrodnieje. Współczesna cywilizacja naukowa stworzyła złe warunki życia człowieka (miasta-olbrzymy, spoczynek, potrawy, zbytnie ułatwianie życia). Tymczasem człowiek normalnie i dobrze się rozwija wśród warunków nieregularnych, trudnych, najeżonych niebezpieczeństwami.

8

Jeśli chodzi o jednostkę, to nasza indywidualność ma swoją podstawę w czemś najgłębszem nas samych. Każdy człowiek stanowi budowę, która niema podobnej sobie, każdy z nas ma swoją odporność własną na czynnik chorobotwórczy, indywidualny stopień wrażliwości na ból, każdy tworzy odrębną osobowość soko-ustrojową, tkankową i psychologiczną. „Ze związku chromozomów męskich i żeńskich w jajku zapłodnionym wywodzi się ciało z wszystkimi swemi cechami i tendencjami". (211). Oryginalność istoty ludzkiej zależy jednocześnie od dziedziczności i rozwoju. Nasze właściwości powstają z właściwości naszych rodziców, nie możemy przekreślać historii, owszem, mamy ją poznać, aby tworzyć przyszłość. Gdy mówimy o niezależności od innych jednostek i świata kosmicznego, ulegamy złudzeniu. Osobowość współczesna w swej budowie poważnych doznaje zaburzeń i wstrząsów, które są wynikiem cywilizacji naukowej, ściślej mówiąc demokratycznej. Wypływa stąd postulat odbudowy człowieka.

9

Carrel stoi na stanowisku nietzcheańskiego doboru jednostek silnych, aby zaś ten stan osiągnąć, trzeba zdobyć prawdziwą wiedzę o człowieku. Dzisiejszego człowieka ekonomicznego trzeba zmienić w człowieka również duchowego. Koniecznem jest wyzwolenie sięz przesądów materialistycznych, stworzyć pełnię życia ludzkiego, boć człowiek to nie istota fizjologiczno-fizyko-chemiczna tylko.

Wierzy autor, że wiedzę taką możnaby zdobyć w przeciągu lat 25 w specjalnych instytucjach, w pewnego rodzaju zakonach kontemplacyjnych. Nietzcheańskim jest też w teorii Carrela stosunek do słabych i umysłowo chorych, dla których litości mieć się nie powinno. Od istoty naszego zdrowia zależy nawet Wszechświat cały. „Wszechświat odmienia swe oblicze w zależności od stanu naszego ciała" (270). Jest wszechświat reakcją naszego systemu nerwowego i naszych metod wobec rzeczywistości zewnętrznej, która jest nie-

znana i prawdopodobnie niepoznawalna. Wszelkie stany naszej świadomości są zarówno prawdziwe. Z siłą naszych działań organicznych i umysłowych wzrośnie i nasz wszechświat. Musimy uwolnić człowieka od kosmosu stworzonego genialnością fizyków i astronomów, od tego kosmosu, w którym jest on zamknięty od czasów odrodzenia. Nasza prawdziwa rzeczywistość wybiega poza świat materii, wybiegamy poza przestrzeń i czas do innego świata. To świat Piękna Nieskończonego, świat Miłości, świat Łaski, świat Wyrzeczenia się, Bohaterstwa, Poświęcenia... Chociaż autor nie jest dla średniowiecza przyjaźnie i przychylnie usposobiony, jednak właśnie w owym świecie szukać trzeba początków realizowania tego wzniosłego Ideału Ludzkości.

10

Ludzkość osiągnie tedy szczęście prawdziwie, gdyż znajdzie się w stanie Łaski, Harmonii i Zgody—jakby powiedział Leibnitz „wprzód ustawionej". Dzieło Carrela jest diagnozą cywilizacji materialistycznej, mechanistycznej i urbanistycznej. Coś podobnego przed wielu laty dała u nas lubo w mniejszym zakresie Maria Grossek Korycka w swych „Medytacjach", chociaż tak wszechstronnie istoty człowieka nie ujęła, Przyczyny zła upatruje w kryzysie moralnym i intelektualnym ludzkości, w zachwianiu równowagi fizycznej i duchowej. Cel—odbudowanie człowieka od wewnątrz, od jego świadomości. Na tej drodze jedynie możemy marzyć o poprawie i odbudowie rasy, która w oczach naszych się degeneruje. Musimy ten szalony pęd życia zahamować, i tak szczęścia ludzkości on nie przynosi. W ogólnych rzutach projekcje Carrela zgadzają się z tendencjami wychowawczymi Dmowskiego, obu myślicielom przyświeca jeden i ten sam cel: świadoma budowa szczęśliwego człowieka i ludzkości szczęśliwej.

Dzieło Carrela wybitne i wprost świetne w części fachowej, lekarskiej, przyrodniczej; mniej zadowala w części—powiedzmy—humanistycznej. Dorobek umysłowy ludzkości ujmującej w najrozmaitszych systemach filozoficznych w ciągu kilkudziesięciu wieków swego trwania powinien być głębiej i szerzej potraktowany. W każdym razie atoli za zasługę poczytać należy autorowi i uznać jego szerokość i głębokość myśli, że nie zawahał się ani na chwilę przed uznaniem metafizyki i innych dyscyplin, przed którymi wzdrygają się rozmaici poprawiacze istoty ludzkiej. Naprawdę starał się ująć w całości, w syntezie niezgłębioną istotę ludzką, oraz wlać w nas wiarę, że świadome tworzenie przynajmniej na razie ulepszonej elity ludzkości jest możliwe.

Oborniki k/Poznania JAN ŚWIERŻOWICZ

# HYMN ŚW. FRANCISZKA Z ASSYŻU

(4 października)

W imię Pana, co zawisł na krzyżu,
A w dniu trzecim zerwał śmierci pęta,
Bracia moi i siostry, zwierzęta,
Błaga was biedaczyna z Assyżu:

Bracie koniu, batami smagany,
Przebacz ludziom przez Chrystusa rany!

Bracie psie, bardziej ludzki niż ludzie,
Na łańcuchu więziony przy budzie
O głodzie i o chłodzie i w brudzie,
A podczas lata, gdy pragniesz ochłody,
Często bez miski wody;
Psie, który dajesz ludziom wierności przykłady,
Odpuść ludziom, braciszku, wszystkie ludzkie zdrady!

Siostro kotko, matko nieszczęśliwa,
Której człowiek kocięta porywa,
A ty szukasz, z bólu oszalała,
Gdzie się twoja rodzina podziała;
Smutne kotki, zagłodzone koty,
Raczcie ludzkie wybaczyć niecnoty!

Szczygły, szpaki, sikorki, czyżyki,
Zięby, dzwońce, skowronki, słowiki,
Czarne kosy, żółte wilgi, modre kraski,
Łowione dla zabawy w samotrzaski,
Ptaszki miłe, ptaszki lube, ptaszki złote,
Darujcie ludziom ich złość i głupotę!

Wy, co ludziom nie sobie miód zbieracie, pszczoły,
Wy, co ludziom nie sobie pracujecie, woły,
Ludziom, co was mordują potem bez litości
Dla mięsa i dla skóry, dla rogów i kości,
I wy kochane siostry: krowo, owco, świnio,
Przebaczcie ludziom, mimo że wiedzą, co czynią!

A teraz wy wszystkie:

Ssaki, ptaki, ryby, gady,
Płazy, robaki, owady,
Gdziekolwiek was człowiek gnębi
Na ziemi, czy w wodnej głębi,
Wszystkie biedne ofiary ludzkiego plemienia,
Nie odmawiajcie braciom-ludziom przebaczenia.
Oto człowiek przed wami kaja się w pokorze,
Bracia, darujcie ludziom winy w imię Boże!

Stworzeniu, które w bólu na ten świat przychodzi
I jęcząc rodzi,
Które żyjąc i rosnąc wzajem się pożera,
Wreszcie umiera,
Stworzeniu, które dotąd wyzwolenia czeka,
Cierpiąc społem za grzech pierworodny człowieka,
Wszystkiemu, co mówi „jestem"
Mową, śmiechem, płaczem, gestem,
Krzykiem, ruchem i szelestem,
Ludziom, zwierzętom, drzewom, kwiatom, trawie
W imię Chrystusa Pana błogosławię!

*

Wyswobódź, Panie Boże, z grzechu świat Twój cały,
A z niewoli skażenia wiedź na wolność chwały,
Bądź nam miłościw, Boże, wszechmogący Panie,
I przyjdź Królestwo Twoje. Amen. Niech się stanie!

ARTUR CHOJECKI

# NA WIDOWNI

Z czego się cieszyć, a z czego martwić. — Groźna chmura na słonecznym horyzoncie. — Nowy blok: Polska, Czechy, Węgry, Rumunia. — Trzeba walczyć o przyszłość.

POLSKA powiększyła się o Śląsk zaolzański i 260 tysięcy Polaków wróciło na łono macierzy. Fakt to niezbicie radosny ale radość z tego powodu nie powinna nam zasłaniać całokształtu sytuacji i udaremnić jej słusznej oceny. Trzeba przecież pamiętać, że rewindykacja Cieszyna, Orłowej i Karwiny to tylko drobny fragment procesu zupełnej rewizji granic Czechosłowacji i to fragment niemal w całokształcie tego procesu ginący.

Musimy bowiem jasno zdawać sobie sprawę z tego, że historyczność ostatnich wydarzeń bynajmniej nie polega na powiększeniu się polskiego Śląska, ale na wielkiej i powszechnej zmianie granic w Środkowej Europie i zasadniczej zmianie wersalskiego porządku. Sudety trzeba rozpatrywać razem z Austrią i razem oceniać ten cały kompleks wydarzeń. Polska zabardzo jest w nich zainteresowana, by dobrowolnie zacieśniała swój punkt widzenia do samego Zaolzia. Obóz narodowy stale to podkreślał i uparcie zaznaczał.

Trzeba więc patrzeć głęboko i daleko, a cieszyć się tylko z tego, co na radość rzeczywiście zasługuje. Przed Polską stanęły wielkie zadania i wchodzi ona w nowy, bardzo ważny okres swych dziejów.

Zaczynający się teraz okres nazwałbym walką o mocarstwowy charakter państwa i teren wpływów naszych, jako teren przyszłego mocarstwa. Pierwsze dwudziestolecie to było preludium dopiero. Wtedy państwo spowrotem stawialiśmy na nogi. Sąsiadów mieliśmy słabych, a zadania i łatwiejsze i prostsze. Dzisiaj jest zupełnie inaczej. A, że cennego czasu sporo się niestety zmarnowało, więc tem większa odpowiedzialność, by należycie odegrać akt drugi.

Bo dziś sąsiadów mamy silnych. Pomijając Sowiety, których przeceniać jednak nie należy, Hitler zorganizował Niemcy i uczynił z nich spowrotem największą potęgę kontynentu. Potęga ta, wykorzystując sytuację międzynarodową z całą mocą ruszyła do ataku i dzisiaj po zajęciu Sudetów i Austrii i podporządkowaniu sobie Węgier— oskrzydla nas od zachodu i południa, grożąc jeszcze w dodatku i na północy bastionem Prus Wschodnich.

Jest to niebezpieczeństwo poważne i ogromna chmura na horyzoncie słonecznym powrotu Zaolzia. Jest to również ogromny dysonans towarzyszący całej ostatniej akcji antyczeskiej. Przecież bez względu na to, co kto o tym narodzie sądzi, nie ma chyba w Polsce nikogo, komu nie byłoby przykro, że margraf Gero znów się posuwa. Zwycięstwo Berlina nad Pragą ma dla Polaka zawsze posmak smutny i do bezwględnej radości nikogo tu żaden p. Studnicki nie przekona.

Ale idźmy dalej. Sytuacja się dziś wytworzyła taka, że w środkowej Europie stanęły teraz Niemcy i Polska oko w oko. Runął cały prestiż Francji bezprzykładnie wprost skompromitowanej i runął cały nadwątlony już gmach genewski. Jak domek z kart, przewróciła się Mała Ententa. Powstał kompletny chaos, z którego będzie trzeba dźwignąć nowy ład. Niemcy już usiłują to robić; ostatnia więc chwila dla Polski, by przeszła do ofenzywy.

W Monachium zaspokojono Niemcy i dano Czechom trzy miesiące czasu na zaspokojenie Polaków i Węgrów. Praga była na tyle mądra, a Polska na tyle silna, że nasze żądania zostały odrazu załatwione, — Węgry na tyle słabe, że muszą czekać. I tu właśnie zasadniczy problem dla Polski, jaką postawę wobec węgierskich roszczeń zająć i jak wogóle się zabrać do zastąpienia parysko-praskiej Małej Ententy, jakąś organizacją swoją.

Otóż nie ulega najmniejszej kwestii, że stanowisko Polski może być tu tylko jedno — poprzeć usprawiedliwione żądania Węgrów i uzyskać wspólną z niemi granicę. W Czechosłowacji, licząc według statystyk czeskich mieszka 800 tysięcy Węgrów, z czego większość zwartą masą na samym południu państwa w Pozsony'u, czyli Bratisławie i okolicy — na małej węgierskiej nizinie i potem wzdłuż granicy. Otóż te terytoria powinny stanowczo do Węgier wrócić, a ze słowiańskich Ruś Karpacka. Co do Słowaków, to jednak ostatnie wydarzenia wykazały, że należy ich zostawić w państwie czeskiem, skoro mimo wszystko zostali wobec nich lojalni.

Trzebaby jednak wzmocnić Węgry, jako państwo kluczowe nad Dunajem i bezpośredniego sąsiada Niemiec. Chodzi bowiem o to, by Niemcy nie miały zbyt słabych sąsiadów i by otaczające je narody były w stanie zachować swoją samodzielność i jakąś własną linię polityczną. Pochód Niemiec po szlakach bagdadzkich przybliża nas do Włoch i rodzi konieczność porozumienia się z Budapesztem, który Warszawa i Rzym razem będą mogły odwojować Berlinowi. Zapewne, że to jest przyszłość, ale zawsze dzisiaj o jutrze pamiętać trzeba.

Ale jeżeli Polska popierać będzie Węgry, to napewno nie w imię prastarej przyjaźni, ale w imię obecnej konieczności dziejowej. Na miejsce Małej Ententy musi bowiem stanąć konstrukcja polska, która winna objąć w każdym razie nowe Czechy, Węgry i Rumunię. Bułgaria i Jugosławia mogą narazie pozostać na uboczy.

Polityka więc polska musi znaleść sposób zmontowania tego nowego przymierza i przesunięcie punktu centralnego dla tych państw z Pragi do Warszawy. Pozornie jest to zadanie bardzo trudne, naprawdę — ciężkie, ale nawskroś wykonalne.

Więc najprzód stosunki z Bukaresztem. Są one jasne i niepozostawiają nic do życzenia. Nad Dambowicą stoi Polska mocno i nie ma sprawy, któraby naś poklócić mogła. Z punku widzenia tworzenia nowej polskiej Europy środkowej ważna jest sprawa Węgrów siedmiogrodzkich, jako jabłko niezgody między Węgrami a Rumunią. Ale sprawę upraszcza to, że jest to wyspa językowa, dosyć odrębna i od rdzennych Węgier bardzo oddalona. Stąd zagadnienie rewizji tych granic stało się właściwie utopią i realnym problemem jest jedynie kwestia jakiejs autonomji dla ludności seklerskiej. Są rzeczy z którymi się trzeba pogodzić i o tem nawet Węgrzy wiedzą. Chodzi więc im dzisiaj jedynie o honorowe i godziwe

rozwiązanie sprawy i tu Polska do pośrednictwa specjalnie jest powołana, ciesząc się zaufaniem i sympatią obu narodów. Istnieje tu przytem precedens w podobnem pogodzeniu Węgier z Jugosławią przez Włochy.

Dyplomacja polska ma więc szczególną okazję poruszenia tych rzeczy właśnie teraz i doprowadzenia do jakiegoś ogólnego paktu gwarancji nowych granic i wzajemnego układu o mniejszościach, no i do jakiegoś układu gospodarczego, co byłoby tamą dla zastraszających niemieckich postępów.

Zostałaby jeszcze sprawa nowej Czechosłowacji. Otóż tu bardzo zawiniono zgoła niepotrzebnym judzeniem opinii na Czechów. Z chwilą, gdy padły słupy graniczne w Cieszynie i gdy doczekamy się wspólnej z Węgrami granicy, ustanie między nami a Czechami wszelki powód sporu i ustali się też jedynie słuszna i należyta płaszczyzna porozumienia między małymi Czechami, a wielką Polską. Z małymi Czechami musimy być w zgodzie, z Czechami mającymi nienaturalne pretensje do przewodzenia Słowiańszczyźnie i własnej gry politycznej nad Dunajem w zgodzie być nie mogliśmy i jeśli smutne wydarzenia sudeckie będą początkiem rzeczywistego uzdrowienia Pragi, to tem dla nas lepiej i należy jej w tym z całej duszy dopomóc. Drogi są różne, ale przede wszystkiem związanie gospodarcze i połączenie Czech ze strefą portu gdyńskiego. Warunki są dziś takie, że wprawdzie Niemcy odniosły zwycięstwo, ale przed Polską raczej a nie przed niemi otwiera się przyszłość. — Tylko, że trzeba pamiętać, że nigdy nic darmo nie przychodzi, i że tę przyszłość trzeba umieć sobie wypracować.

KAROL STEFAN FRYCZ

# GŁOSY

## HEROIZM POLSKI

Gazety podały, że w Cieszynie podczas lekcji P. W. wydarzył się straszny wypadek w czasie demonstrowania w klasie przed uczniami granatu ręcznego.

Komendant hufca P. W. w liceum pedagogicznem prof. Hajkowski, znany działacz, oficer rezerwy, omyłkowo wziął do ręki ostry granat zamiast ćwiczebnego i odbezpieczywszy puścił sprężynę. Spostrzegł się zaraz i, skoczył do okna, chcąc granat wyrzucić na podwórze, ale okno było zakratowane. Nie namyślając się tedy, w poczuciu całkowitej odpowiedzialności za powierzonych sobie uczniów, przycisnął granat do piersi i, osłoniwszy go jeszcze ramionami, odwrócił się tyłem do klasy.

Bohaterski nauczyciel został rozszarpany przez granat, ale uczniowie ocaleli.

Ten fakt i śmierć na polu walki o Zaolzie harcerza polskiego, Witolda Regera wyznaczają poziom duszy zbiorowej narodu, na jakim znalazł się w rozstrzygającej chwili dziejowej na szczęście dla pełnej chwały przyszłości.

# O INTERWENCJI ZA ZBRUCZEM

### (NA MARGINESIE KSIĄŻKI A. BOCHEŃSKIEGO p. t. „MIĘDZY NIEMCAMI A ROSJĄ")

W OSTATNIM n-rze „Polityki Narodowej" na str. 303, są uwagi na tle świeżo wydanej i silnie kolportowanej książki p. A. Bocheńskiego, znanego konserwatysty, ukrainofila p. t. „Między Niemcami a Rosją" w artykule: „Sprawa Ukrainy Naddnieprzańskiej". Artykuł ten w bardzo przekonywających i logicznych argumentach wykazuje niedorzeczność projektu budowania jakiejkolwiek Ukrainy nad Dnieprem, drogą zbrojnej interwencji polskiej, w dzisiejszych czasach, a przynajmniej w niedalekiej przyszłości.

Ponieważ książki p. Bocheńskiego nie czytałem, nie mogę jemu wprost odpowiedzieć; chciałbym natomiast na podstawie znanych mi źródeł ukraińskich rozjaśnić przed społeczeństwem polskiem, jak się na tę kwestię zapatrują politycy ukraińscy i czy pragną oni polskiej interwencji na Ukrainie naddnieprzańskiej.

Otóż, przedewszystkiem cennych wiadomości dostarcza nam książka p. Wasyla Kuczabskiego p. t. „Ukraina i Polszcza" otwarta odpowiedź polskiemu konserwatyście (Janowi Bobrzyńskiemu).

Broszura ta zawiera wiele trafnych uwag o historii Polski i Rusi, o powstaniu Polski i Ukrainy podczas wielkiej wojny; o nowoczesnem społeczeństwie, o złej i dobrej formie dyktatury (str. 191—174), o idealnych rządach—które sobie p. Kuczabski wyobraża pod kierunkiem warstwy wyższej, zdyscyplinowanej, odpowiedzialnej przed Narodem, a którą nazywa konserwatywną o idealnem społeczeństwie, a nie rozłożonem przez, jak to p. Kuczabski twierdzi, ideę i „system" R. Dmowskiego.

Uwagi te nie są z jednej strony pozbawione dowodu pewnej głębszej myśli tegoż polityka. Niestety, p. Kuczabski swoimi nieprzytomnymi, bezsensownymi i nierealnymi napadami na Romana Dmowskiego i na ideę narodową w Polsce — traci powagę i z poważnego pisarza politycznego, za którego chce uchodzić, i którego z początku w swej broszurze nieźle udaje, spada do roli pismaka, na którego sam się żali na str. 229, „rozłożonego psychicznie, który swymi miazmatami zatruwa każdą sprawę, do której przystaje".

Ale to nie należy do sprawy; należy przejść do właściwego tematu, a mianowicie, jak się pan Kuczabski zapatruje na kwestię ewentualnej zbrojnej interwencji polskiej, którejby celem było zbudowanie niepodległej Ukrainy nad Dnieprem, której zwolennikiem jest p. A. Bocheński i inni politycy, grupujący się przeważnie naokoło „Polsko-Ukraińskiego biuletynu".

Tą sprawą zajmuje się długo i szeroko p. Kuczabski w swojej broszurze, zwłaszcza na str. od 183 do 194, i ustosunkowuje się do niej negatywnie.

Przedewszystkiem twierdzi (str. 76), że naród Ukrainy Naddnieprzańskiej nie okazał się zdolnym do zbudowania organizmu państwowego, a motywuje to tem, że nie wytworzył warstwy wykształconej i uświadomionej w duchu państwowym, t. j.

konserwatystów, którzyby umieli kierować państwem i mogli opanować anarchię i rewolucję w r. 1917—20.

Że to było prawdą, pisze też i Szuchewicz w tomie V swoich pamiętników, omawiając maj 1920 r., kiedy po zajęciu Kijowa przez wojska polskie, pojechał do Winnicy, ówczesnej tymczasowej stolicy Ukrainy, gdzie przebywał Główny Wódz Petlura. Otóż tam spotkał się z politykiem wsch.-galicyjskim w 1919 r. ministrem zachodniej Ukrainy a późniejszym senatorem polskim, d-rem Iwanem Makuchem. Dr. Iwan Makuch (T. V. str. 82 i 83) dał Szuchewiczowi tego rodzaju informacje, że Petlura buduje ukraińskie państwo, a obowiązkiem naszym (t. j. „hałyczan") jest przystępować do tej pracy. Wprawdzie Polacy zastrzegli się, by „hałyczan" nie przyjmować na odpowiedzialne stanowiska; trzeba się jednak tam wciskać i wkręcać, choć opinia dla „hałyczan" jest wrogo nastrojona. Z tutejszemi stosunkami i przyjętymi do nich ludźmi nie można pracować, gdyż nie nadają się oni do żadnej pracy. Dlatego praca nie idzie a czas nie stoi. Skoro po niejakim czasie Polacy zobaczą, że władza nie organizuje się, przejmą w swoje ręce i cywilną administrację, jak to uczynili z wojskową. Radził, by do organizacji kraju przyjąć „hałyczan", a ci zrobią wszystko dobrze i szybko. To jednak groch o ścianę, niema z kim mówić.

Wobec takiej niezdolności społeczeństwa wschodnio-ukraińskiego do pracy państwowotwórczej uważa p. Kuczabski, że taką warstwę (konserwatystów) wytworzyło społeczeństwo t. zw. Zachodniej Ukrainy i prawdziwem nieszczęściem dla całej Ukrainy był fakt rozbicia tej bazy, na której mogła się oprzeć budowa państwa ukraińskiego przez Polskę, gdyby Polska nie była „nadużyła" swego zwycięstwa w 1919 r. i była zostawiła Ukrainie choć granice linii t. zw. Berthelemy'ego, to Ukraina na tej choć zmniejszonej bazie oparta, mogłaby jeszcze obronić się bolszewikom (str. 139).

Dziś jednak społeczeństwo ukraińskie nad Dnieprem utraciło resztkę warstwy państwowotwórczej i jeśliby nad Dnieprem mogło być zbudowane jakieś „państwo", to tylko buforowe i kolonialne. Zresztą wie o tem dobrze, co wyraźnie podkreśla, że na żadną interwencję zbrojną ze strony Polski w tym czasie się nie zanosi, gdyż bolszewicy są jeszcze silni, a Polska, pamiętając rok 1920, nie zechce ryzykować drugi raz swej wolności i niepodległości dla budowania Ukrainy. Jedynie mogłaby nastąpić tego rodzaju interwencja na wypadek, gdyby bolszewizm sam upadł, a w Rosji nastąpiło zamieszanie w rodzaju z lat 1917-18; wtedy jednak p. Kuczabski interwencji sobie nie życzy, wie bowiem dobrze, że choć znaleźliby się atamani, hetmani i inni awanturnicy, którzyby poszli z Polską, ale takie wkroczenie wojsk polskich na Ukrainę dałoby hasło wkroczenia innych państw, mających tam interesy, czego rezultatem byłoby ponowne podbicie Ukrainy przez Rosję, któraby przez ten czas miała możność uporządkowania swych stosunków wewnętrznych—albo podział Ukrainy na kilka sfer kolonialnych—a pod protektoratem Polski utworzyłoby się najwyżej małe państewko buforowe, kolonialne, złożone z części Ukrainy przeddnieprzańskiej, któreby było dalszą placówką polskiej ekspansji na Wschód (str. 191 i 192).

Jedynem jego pragnieniem byłoby, by Ukraina, korzystając z zamieszania w Rosji, sama od niej uporządkowała swe stosunki i mogła potem jej stawić skuteczny opór; a wtedy po połączeniu wszystkich ziem ukraińskich, stała się tak wielką potęgą, by nie potrzebować zależności od nikogo i móc wybierać sojusze dla siebie najwygodniejsze. Dlatego też Ukraina żąda w tym czasie od Polski jedynej przyjaznej usługi... neutralności (str. 193).

Oto jest odpowiedź dla p. Bocheńskiego i jemu podobnych ze strony polityka ukraińskiego i pokrewnego im zapatrywania... konserwatysty... Zresztą wywody odnośnie do Ukrainy naddnieprzańskiej p. Kuczabskiego są jasne i logiczne; ponieważ jednak twierdzi on, że społeczeństwo naddnieprzańskie nie ma zdolności do wytworzenia państwa, to kwestia państwa, ukraińskiego na długi, długi czas, jeśli nie na zawsze, pozostawać będzie w krainie marzeń.

Jeżeli zaś p. Kuczabski tak strasznie, nienawidzi Romana Dmowskiego, czego dał dowód na każdej niemal stronicy swej broszury, a czego mu narodowo myślące społeczeństwo zapomnieć nie powinno, to powinien wiedzieć, że pod tym względem. t. j. neutralności Polski, ten właśnie zgadza się z nim zupełnie. W swoim cyklu artykułów p. t.: „Kwestia ukraińska" (pisma R. Dmowskiego wyd. A. Gmachowskiego, t. VII, str. od 207 do 240), Roman Dmowski jest stanowczym przeciwnikiem polskiej interwencji na Ukrainie: „Są tacy, którzyby rozwiązanie tej kwestii przez oderwanie Ukrainy od Rosji przedstawiali sobie sielankowo. Ci naiwni najlepiejby zrobili, trzymając od niej ręce zdaleka" (str. 230). Kwestia ukraińska z naszej polityki zewnętrznej powinna być stanowczo wykreślona, „Zniknie pokusa podpalania domu własnego, poto, by się od niego zajął dom sąsiada, (str. 239).

Nie należy też zapominać o tem, co pisze wyraźnie p. Kuczabski o sojuszu „najwygodniejszym"; nie potrzeba być geniuszem politycznym, by jasno rozumieć, że pod sojuszem rozumie p. Kuczabski Niemcy, pod których protektoratem „niezależne" państwo ukraińskie znajdowało by się i ich potędze służyło.

Że zaś p. Kuczabski jest przyjacielem Niemiec, do czego wprawdzie się w swym liście wyraźnie nie przyznaje, można to jednak poznać na str. 92, gdzie wspomina, że „francuski interes polityczny pozwolił p. Romanowi Dmowskiemu wykroić z karty Europy najbardziej fantastyczne kordony wschodnie i z a c h o d n i e (*sic!*)". Na str. 93 kpi z narodu polskiego, że posiadaniem morskich wybrzeży chce się przemienić z kontynentalnego w naród morski na wzór angielskiego. Wobec tych niedwuznacznych skłonności do sojuszu odpowiedzieć możemy p. Kuczabskiemu, Bocheńskiemu *et cons.*, że żadne państwo ukraińskie za Zbruczem nie jest dla Polski pożądane.

Należałoby się też zastanowić, jakie skutki dla naszych wschodnich granic miałby fakt powstania państwa ukraińskiego za Zbruczem? Na to nam daje niedwuznaczną odpowiedź dr Stefan Szuchewicz w swych pamiętnikach. Szuchewicz na kwestię Ukrainy zapatruje się z innego punktu widzenia, jak Kuczabski; twierdzi mianowicie, że Ukraina nie mogłaby się utrzymać nawet w wypadku, gdyby Polska zawarła z Zach. Ukrainą pokój, uznając granicę Sanu (a nie Berthelemy'ego);

otóż, wedle jego zdania, siły i tej Zach. Ukrainy nie byłyby dostateczne, by uratować naddnieprzańską Ukrainę od zalewu bolszewickiego; w najlepszym razie bolszewicy zatrzymaliby się na dawnej granicy austriackiej i przez parę lat istniałoby między Zbruczem a Sanem malutkie państewko Zachodnio Ukraińskie, z któregoby płynęła fala agitacji nacjonalistycznej na Czerwoną Ukrainę; tegoby oczywiście rząd bolszewicki ścierpieć nie mógł i wojska czerwone prędzej czy później uderzyłyby na Zach. Ukrainę; „Polska zaś też nie zostałaby wtedy neutralną, tylkoby wystąpiła; przyszłoby do wojny polsko-bolszewickiej, a jakby się ona skończyła, widzieliśmy w r. 1920. Dostalibyśmy się tam, gdzie teraz jesteśmy; tylko, gdyby na Wielkiej Ukrainie powstała nacjonalna i silna *derżawa*, wtedyby można myśleć o pełnem *osiachneniu*. Bo droga idzie nie przez Lwów do Kijowa, lecz naodwrót". (T. IV, str. 147).

O tem powinni wiedzieć i to pamiętać ci „naiwni", t. j. p. Bocheński, Pruszyński i inni, którzy się zachwycają książką p. Bocheńskiego — a którzyby lepiej zrobili, gdyby posłuchali rad największego polskiego polityka R. Dmowskiego, od kwestii ukraińskiej trzymali ręce zdaleka i nią nie podpalali własnego domu.

Tego im z całego serca życzę, gdyż tu nie chodzi o zapatrywania polityczne i o partię, lecz o wspólną nam Ojczyznę.

WŁADYSŁAW WIELOWIEYSKI

NAUKA I LITERATURA

# O MÓZGU

AUTOREM dzieła[1]) jest, jak zapewne wiadomo nietylko przyrodnikom, niedawno zmarły wielki uczony rosyjski, jeden z najznakomitszych fizjologów współczesnych. Dedykując dzieło „O czynności mózgu" pamięci swego syna, nazywa je owocem „25-letnich nieustających rozmyślań". Wykłady, które złożyły się na tę książkę, zostały wygłoszone w r. 1924 w Akademii Wojskowo-Lekarskiej, przed audytorium lekarzy i przyrodników. Przedmiotem wykładów był olbrzymi, gromadzony przez 25 lat dorobek pracy doświadczalnej, nad korą mózgową psa. Praca była zbiorowa, w gronie uczonych, oczywiście pod przewodnictwem ideowem i organizacyjnem Pawłowa. Rzeczone wykłady jego w sowieckiej Akademii Nauk zostały zastenografowane, a później w ciągu półtora roku uporządkowane i przerobione przez autora. Książka wyszła w języku rosyjskim w dwóch wydaniach. z r. 1926 i 1927. Pisząc przedmowę do II wydania Pawłow oświadczał, że w jego pracowniach wciąż wytwarza się nowy materiał naukowy, i uwzględniając go, należałoby poczynić w książce pewne zmiany. Ale skarży się na chorobę, która mu w tem przeszkadza,

Zmarł, nie dokończywszy dzieła, któremu życie poświęcił. Zresztą był przekonany, że fizjologia mózgu stawia dopiero pierwsze kroki, i wiele jeszcze pokoleń uczonych będzie musiało nad nią pracować, zanim ją wydźwignie na poziom innych nauk.

Przekładu książki na polski dokonał Stefan Miller.

Dzieło, pozbawione zupełnie frazeologii naukowej, nieprzeładowane terminami specjalnemi, prostotą wysłowienia, logiką, przedmiotowością i jasnością wykładu przypomina książki najznakomitszych polskich uczonych humanistów: Ign. Chrzanowskiego i Tad. Zielińskiego.

Na wstępie Pawłow podaje stan badań mózgu, wykazując olbrzymią dysproporcję, jaka zachodzi między niezmiernie skomplikowaną budową i ważnymi czynnościami mózgu w organizmie, a niewielką wiedzą ludzką o tych sprawach. Do 70-go roku ub. stulecia nie było wogóle żadnej fizjologii kory mózgowej.

Za główną, wytyczną w metodzie swych badań przyjął Pawłow stworzone przez Descartesa pojęcie odruchu jako podstawowego aktu układu nerwowego. Akcja organizmu jest regularną odpowiedzią na działanie czynników zewnętrznych. Pawłow próbował metody psychologicznej. Okazało się jednak, że uzasadnienie psychologiczne czynności mózgu nie dopuszcza kryteriów obiektywnej sprawdzalności, ma raczej charakter subiektywnych opinij, z którymi nie można dojść do ładu. To też Pawłow zarzucił badanie zjawisk psychologicznych, towarzyszących czynnościom mózgu (tę metodę przyjęli amerykańscy uczeni)—i począł badać fizjologię mózgu metodami ściśle przyrodniczemi.

Doskonaląc technikę badania, Pawłow doszedł do wniosku, że trzeba koniecznie uprościć warunki doświadczeń. Przy Instytucie Medycyny Doświadczalnej wybudowano specjalne laboratorium i zabezpieczono je przed wpływami zewnętrznymi. Dokoła wykopano rów. Pokoje doświadczalne oddzielono od siebie korytarzem i piętrami pośredniemi. W każdym takim pokoju kilka warstw izolacyjnych oddzielało zwierzę od eksperymentatora. Przewody powietrzne i elektryczne służyły do pobudzania i notowania reakcji.

Dla laików, zajmujących się fizjologią z ogólnoludzkiej ciekawości, albo traktujących ją jako wiedzę pomocniczą, największe znaczenie mieć winny rozdziały początkowe i końcowe. Zwłaszcza dwa ostatnie: „Ogólna charakterystyka badań: cele, trudności i nasze błędy", oraz: „Zastosowanie do człowieka danych, otrzymanych na zwierzętach".

(INT.)

[1]) I. P. Pawłow, członek Akademii Nauk. „Wykłady o czynności mózgu". Warszawa 1938. Tow. wyd. „Rój". Str. 358 dużej ósemki, z portretem autora.

## RUCH WYDAWNICZY

Bardzo bogato przedstawia się świeżo wyszły z pod prasy zeszyt II-gi „Przeglądu Filozoficznego" (z b. r.)[1])

Zeszyt otwiera krótkie wspomnienie o niedawno zmarłym filozofie polskim Marianie Borowskim (pióra Adama Zieleńczyka), poczem następują: omawiający główne tendencje systematu Malebranche'a (z racji trzechsetlecia urodzin tego jednego z największych filozofów i moralistów chrześcijańskich) artykuł St. Czajkowskiego (str. 120—135), interesujący artykuł Ojca Bocheńskiego (profesora *Angelicum* w Rzymie) o powszechnikach w systemie św. Tomasza z Akwinu (str. 136—149), Stanisława Ignacego Witkiewicza— „O protagorejskim typie umysłowości" (str. 150—174), Bolesława Gawęckiego „O realizmie krytycznym (str. 175—181) i Stefana Baley'a „O Karolu Stumpfie (str. 182—191).

Dyskusja w sprawie artykułu p. Izydory Dąmbskiej (zamieszczonego w III-im zeszycie „Przeglądu Filoz." z r. ub.) i obfity szereg gruntownych sprawozdań (wśród których na szczególną uwagę zasługuje sprawozdanie p. Januszewskiego ze świeżo wyszłych nakładem Akademii Umiejętności w Krakowie listów Bronisława Trentowskiego w opracowaniu prof. Stanisława Pigonia[2]) i sprawozdanie p. Gordziejewa

[1]) „Przegląd Filozoficzny", Rocznik 41, zesz. II. Warszawa 1938. Cena 4.— zł. (Str. 113—224).

[2]) Listy, Bronisława Trentowskiego (1836—1869). Zebrał i do druku przygotował Stanisław Pigoń. Kraków 1937 Nakładem Polskiej Akademii Umiejętności (str. VIII+535+ dodatek. Rejestr listów Br. Trentowskiego znanych a nie objętych wydaniem niniejszem.

z zawsze aktualnych „Rozmyślań“ Marka Aureliusza, które wyszły świeżo w przekładzie d-ra Mariana Reitera ze wstępem prof. Tadeusza Sinki jako tom 29-ty wydawanej przez Warszawskie Towarzystwo Filozoficzne Biblioteki Filozoficznej Klasyków [8]) zamykają ten ze wszech miar godny nabycia i poczytania zeszyt. (S. Cz.)

[8]) Marek Aureliusz, „Rozmyślania“. Przełożył oraz objaśnieniami zaopatrzył dr Marian Reiter ze wstępem prof d-ra Tadeusza Sinki. Warszawa 1937. Str. 196.

*

Niebawem, jak się dowiadujemy, ukaże się drugie wydanie książki b. konsula Rzplitej w Berlinie, p. Stanisława Zielińskiego p. t. „W szponach Sfinksa“, zawierającej niezmiernie cenne, rewelacyjne wspomnienia z pobytu autora w więzieniach G. P. U., w Rosji Sowieckiej.

## NOWE KSIĄŻKI

Rachmanowa Aleks. Tragedia pewnej miłości (Tołstoja). Katowice. Księg. Katol.

Krzemień Janusz. W matni. Powieść. Tamże.

Foerster Fryd. W.Sture i nowe wychowanie. Tamże.

Foerster Fryd. W. Światło wiekuiste a ziemskie ciemności. Tamże.

Ransome Artur. Jaskółki i amazonki. Warsz. 1938. „Rój”.

Roberts Kenneth. Zemsta puszczy Kanadyjskiej. Warsz. 1938. „Rój”.

Podhorska-Okołow Stefania. Kobiety piszą. Warsz. 1938. Hoesick.

## Z TEATRU

# KROTOCHWILA ROSTWOROWSKIEGO W TEATRZE NOWYM

TRZEBA przedowszystkiem, dla skompletowania informacji, powtórzyć wiadomości, przypomniane przez sprawozdawców teatralnych z prasy codziennej z powodu „Bratnich dusz”.

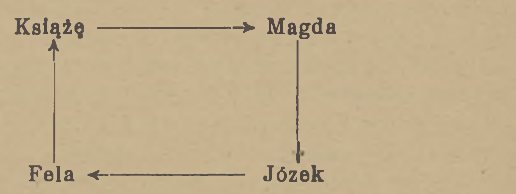
Był to pierwotnie dramat, p. t. „Pod górę”. Jego zawartość ideowa i węzły budowy polegały na pięciu się niższych warstw społecznych na wyższe szczeble. Ta sprawa nurtowała przez całe życie w duszy Rostworowskiego. Jest ona ważnym motywem w „Judaszu”. Ma ostry, rewolucyjny przebieg w „Antychryście”. Kojarzy się z metafizyką i teologią katolicką w „Miłosierdziu”, tworząc, straszliwy w swej prawdzie życiowej dramat ludzkości. Najpełniejszy jednak wyraz ta idea swoistej walki klas, daleka od jednostronności i schematyzmu Marksa, bo oparta na pełnem wyczuciu duszy aryjskiej i rzeczywistości polskiej — znalazła w trylogii Rostworowskiego: w „Niespodziance”, w „Przeprowadzce” i „U mety”.

Dramat „Pod górę” był trzydzieści lat temu wystawiony w Krakowie. Sztukę po paru przedstawieniach o stosunkowo niezłem powodzeniu zdjęto na żądanie autora. Rostworowski nie zniszczył jednak rękopisu i nie wyrzekł się pomysłu. Nie wiadomo, czy dostrzegł w nim zręby na wesołą komedię, czy też chciał dokonać eksperymentu literackiego i napisać pierwszą w życiu krotochwilę — dość, że sztukę przerobił. Dramatyczność, o ile się dało, usunął z niej, pozostawiając jednak te same osoby, rozwinął wszelkie efekty komiczne. Konflikty społeczne, z natury rzeczy i ze spuścizny pierwszej redukcji utworu poważne i niebezpieczne potraktował lekko i dał pogodne, iście krotochwilne zakończenie. Całość zaopatrzył tytułem „Bratnie dusze” i wystawił na scenie krakowskiej zaraz po wojnie.

Obecnie „Bratnie dusze” rozpoczynają sezon Teatru Nowego.

Rzecz rozgrywa się w trzech kondygnacjach społecznych. Pierwszą reprezentuje chłop, rymarz stajenny Józek Bielon i jego żona Magda. Drugą — rządca z córką Felą. Trzecią najwyższą kondygnację stanowi książę.

Układ sił—afektów, pchających te osoby do działania i sprzęgających je do jednolitej akcji, da się zobrazować w następującym wykresie:




Magda i Józek połączeni są węzłem małżeńskim, którego świętość szanują. Józek bałamuci się Felą, wszakże uwielbia ją raczej jako istotą piękną, jako rusałkę z wyższego świata. Te jego zachwyty mają raczej podkład estetyczny. Silna miłość mężowska łączy go z Magdą. Uczucie każdej osoby z tego czworokąta ma inny charakter i inny cel. To nastręcza bogactwo psychologii, języka, metod postępowania — i pokazuje nam jeszcze raz Rostworowskiego w pełni dramatycznego mistrzostwa.

Warstwy społeczne w sztuce występują na tle swych środowisk, uwidocznionych przez dekoracje. Akt pierwszy rozgrywa się w stajni, drugi w mieszkaniu rządcy, trzeci w pokoju pałacowym. Rostworowski wyraża swą ideę dobitnie, koncentrując wszystkie środki dramatyczne.

Wszakże trzeba powiedzieć, że „Bratnie dusze”, łącząc w sobie wiele cech mistrzowskiego talentu, dając widowisko wybitnie wartościowe i ciekawe, nie są dziełem doskonałem. Widać w tej sztuce przeróbkę. Akcja początkowo idzie po wielkich liniach dramatu, tak właściwych Rostworowskiemu; sytuacje poszczególne są komiczne, dialogi wesołe, kreślone z temperamem i poczuciem humoru, ale między osobami zarysowują się ostre konflikty i widz czuje, że zbliża się katastrofa. Józek ma duszę rogatą, męstwo fizyczne i poczucie, że za nim stoi ład społeczny i siła sakramentu. Księciem powoduje chorobliwa namiętność, a w walce o Magdę mógłby dysponować bądź co bądź wyższą kulturą społeczną i przewagą stanowiska ekonomicznego.

W rezultacie jednak nie dochodzi do żadnej potworności; nie ma obłędu, ani krwi. Akcja się załamuje, autor „wystrychuje” widza na dudka (uprzedza nas zresztą lojalnie, że jest to „krotochwila”, ale zapominamy o tem podsugestią jego potężnej ekspresji) — napięcia dziwnie jakoś, bez solidniejszej przyczyny zwalniają się i na zakończenie mamy naprawdę krotochwilną sielankę.

Gra artystów? Artyści dramatyczni w sprawozdaniach teatralnych są zawsze pokrzywdzeni, bo nawet, kiedy się o nich pisze z entuzjazmem, trzeba operować ogólnikami. Gdyby się chciało sumiennie scharakteryzować i ocenić ich sztukę, trzeba by o każdej kreacji napisać obszerne studium, albo impresję. A nawet należałoby załączyć, do każdego egzemplarza recenzji taśmę filmową z nagraną sztuką, o której się pisze.

Jerzy Roland, z lekka „osterwując” grał księcia znakomicie. Na tym samym mniej więcej poziomie utrzymali się inni aktorzy: Dominiak, Lubieńska, Żukowski, Niwińska dając koncert godny przenikliwości psychologicznej i dowcipu Rostworowskiego.

Komedię reżyserował A. Cwojdziński w dekoracjach St. Cegielskiego.

T. D.

ZMARLI

# Ś. P. IGNACY CHRYSTOWSKI

Zgon ś. p. Ignacego Chrystowskiego, znakomitego ziemianina, właściciela Tłokini pod Kaliszem, okrył ciężką żałobą najbliższych w rodzinie i ziemię kaliską, której zmarły był chlubą, jako rolnik zawodowy i przodownik życia miejscowego we wszystkich dziedzinach. Zmarły jednak związany był z szerszemi kręgami świata polskiego, jako obywatel kraju. jako ten, którego sercu i myśli nie była obca żadna troska narodowa, żadna inicjatywa pracy dla dobra Polski. Mamy obowiązek zaświadczyć o tem z tej swojej placówki, tak daleko wysuniętej w dziedzinę zagadnień kultury umysłowej, że równie bliski był nam, jak Kaliszanom.

Związki ideowe nie znają odległości geograficznych i społecznych. Ś. p. Chrystowski był naszym w „Myśli Narodowej" współpracownikiem, bo nas wspierał moralnie i materialnie, tak jak i my byliśmy jego współpracownikami tam pod Kaliszem, służąc mu wytworem swej pracy. Znaczenie pracy ś. p. Chrystowskiego sięgało daleko poza szranki regionalne.

Zaprawiał się do pracy obywatelskiej od wczesnej młodości. Jeden z jego przyjaciół pisze teraz o nim w liście do redakcji:

„Pamiętam młodym uczniem ś. p. Ignacego Chrystowskiego, kiedy to w roku 1900 (miał wtedy lat 18) zakładał w Kaliszu Koła Samokształcenia wśród młodzieży i biblioteczki latające po wsiach. Z wielkim trudem i poświęceniem, przewoził i kolportował tak zwaną „bibułę narodową" po całym powiecie kaliskim. Założenie domów ludowych i kooperatyw, było jego myślą przewodnią, jako środek zbliżenia się do ludu, krzewienia oświaty: utrzymania narodowości. W tej pracy pomagało mu wielu adeptów Kół samokształcenia, głównie ksiądz Lniski z Kalisza i kolega W., którzy opakowani bibułą narodową rozwozili na rowerach w rozmaite punkty powiatu kaliskiego, owe nielegalne odezwy i latającą bibliotekę, przygotowując grunt do ciągłego kontaktu z ludem. W pewnym okresie czasu działalność ich została wyśledzona co spowodowało nagły wyjazd księdza L. do Ameryki. Pan Ignacy ani na chwilę nie przerwał swojej pracy narodowej".

Słynął ś. p. Chrystowski jako rolnik. Zjeżdżali się do niego po naukę praktykanci rolni. A jednak nie poszedł za hasłem, ograniczającem rolę ziemianina do obsługi warsztatu, jak to czynili w ostatnich czasach inni, wymawiający się od tradycyjnej służby obywatelskiej.

Senator Wł. Jabłonowski, bliżej z nim zaprzyjaźniony, pisze o nim w „Warsz. Dzienniku Narodowym":

„W jego tradycji rodzinnej, w zasadach wychowania, jakie wyniósł z domu oraz ze środowiska uniwersyteckiego, wreszcie w przyrodzonej szlachetności jego duszy spoczywały te siły moralne, te nakazy ideowe, które wyrywały go wciąż z partykularyzmu sfery własnej i uczyniły z niego niepospolitego działacza na polu narodowym.

Na tym polu, przez długie lata, działał niestrudzenie, walczył wytrwale i uparcie, bez bojaźni narażenia swojej osoby i swego interesu. nie dla chwilowego zaznaczenia się i wyróżnienia, nie dla próżnej chwały swego imienia, lecz dlatego, iż w wierności ideałom narodowym, w gotowości ponoszenia dla nich ofiar — widział najwyższy obowiązek oraz cel życia, prawdziwie miłującego Ojczyznę, Polaka."

Zmarł w sile wieku 56 lat. Tem większy żal. Uroczysty i tłumny pogrzeb ś. p. Chrystowskiego w dn. 24 września świadczył, jak bardzo kochali go bliscy, jak bardzo ceniło go społeczeństwo.

Niechaj spoczywa w pokoju!

W.

## NA MARGINESIE

Na jaki poziom zeszła w Polsce dyskusja polityczna! W tygodniku „Robotnik Polski" (nr. 38) „historyk" sanacyjny M. Malinowski—Wojtek w polemice z p. Honowskim, autorem dzieła o r. 1918, tak się załatwia z zarzutami, tyczącemi rządów ludowych Moraczewskiego:

„Wreszcie dziś po dwudziestu latach, patrząc na wypadki w przeszłości zupełnie obiektywnie, twierdzę, że dobrze się stało, jak się stało, bo gdyby była endecja odrazu w całej swej „krasie historycznej" doszła do władzy, — to niewiadomo, czy dziś bylibyśmy wolnymi obywatelami we własnej Niepodległej Polsce, czy też może jedną z fikcyjnych republik sowieckich".

Słowem „Cud nad Wisłą" jest dziełem socjalistów...

*

Osobliwy ten historyk, gdy argumentów braknie, ucieka się do pogróżek:

„P. Honowski pisze tak:

„Pokutujące do dziś dnia przywileje, pochodzące czy to z tytułu brania udziału w walkach w okresie wojny światowej, czy czynnej walce przed wojną, nie powinny były w owym momencie być brane pod uwagę". Wolne żarty p. Honowski! Więc któż to powinien był decydować wtedy o losach Polski? Czy ci co o Nią lata całe walczyli, aż ją zdobyli, czy też ci, co szli z każdym wrogiem na kompromis, na każde pomniejszenie zagadnienia zdobycia całkowitej niepodległości"? Panie Honowski, ostrożnie z takiemi twierdzeniami, boć przecie my jeszcze żyjemy i potrafimy bronić swego honoru, przeciwko każdemu, kto ten honor, wynikający z naszej ciężkiej dla Polski służby, będzie chciał sponiewierać, albo pomniejszyć!"

## KONFISKATA

Nr 43 „Myśli Narodowej" uległ konfiskacie za notatkę w „Głosach"—„Stanowisko Stronnictwa Narodowego". Notatka ta była przedrukowana z „Kur. Poznańskiego". Nowego wydania tego zeszytu nie zdołaliśmy wykonać.

## NA FUNDUSZ PRASOWY „MYŚLI NARODOWEJ"

Bezimiennie złożono w administracji zł. 20.—.

BŁĘDY DRUKU. Do zamieszczonego w nr 40 „Myśli" (z 18.IX.1938) artykułu p. Czajkowskiego zakradły się następujące błędy:

Na str. 628 w szpalcie I-ej w wierszu 4-ym zamiast „bytem" powinno być „Bytem"; w 5-ym od dołu zamiast jakoby"—„jakby". Na stronie 629 w szpalcie I-ej w wierszu 3-im zamiast „własnej" powinno być „właściwej; w wierszu 12-ym zamiast „Renowier" — „Renouvier"; w wierszu 27-ym zamiast „nad-idealiści"—„neo-idealiści". Na str. 630 w szp. II-ej w wierszu 6-ym zamiast „teologiczny" powinno być „teleologiczny", w wierszu 14-ym zamiast „porządkowanie"—„podporządkowanie".

W odsyłaczu 6-ym zamiast „Souhier"—„Gouhier".

**TREŚĆ:**



Adres Redakcji: Mokotowska 11 m. 5. Tel. 9. 25-46. Adres Administracji: Al. Jerozolimskie Nr. 17. Tel. 9-87-90.
PRZEDPŁATA kwart. zł. 9, półrocznie zł. 17, rocznie zł. 32, zagranicą kwart. zł. 12, półroczn. zł. 24, rocznie zł. 45.
Konto czekowe na P. K. O. 3.105.
Redaktor naczelny i wydawca: ZYGMUNT WASILEWSKI.
Druk. SPOŁECZNA, Pl. Grzybowski 8/5. Tel. 205-80. PRZESYŁKA POCZTOWA OPŁACONA RYCZAŁTEM.